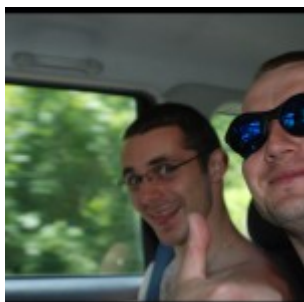


Węgry – a!e Kékes...

Ce! – Kékes (1014 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2009

Kto – Dziku & Ola & Marek & Łukasz





O północy opuszczamy [Bośnię i Hercegowinę](#). Chyba nas Bośniacy polubili bo sympatyczny pan celnik trochę nas na granicy przetrzymał w aucie. Pewnie sprawdzał nasze dane na naszej klasie. Po jakiejś pół godzinie jednak podszedł, oddał dokumenty, podziękował że tyle zechcieliśmy czekać, po czym jeszcze kilkakrotnie przeprosił i pomachał nam z uśmiechem.

Kawałek dalej, w Serbii, zatrzymuje nas bardzo groźnie wyglądający policjant. Pomagając sobie świecącym czerwonym lizakiem ogląda uważnie każdą z naszych opon po czym z uśmiechem pozwala jechać dalej. O co mu chodziło z tymi oponami – nie wiem – ale podobno to u nich częste.

Po całonocnej jeździe, jeszcze przed południem udaje nam się zdobyć zachodnią – asfaltową ścianę Kékesa. Jakoś dajemy radę wspiać się te ostatnie metry od parkingu. Ja w skręconych śrubką klapkach i spodniach od Oli (moje spodnie na zawsze pozostały w Bośni gdyż zupełnie się na Magliciu roztargały), Marek w sławnych Bermudach (pokonał w nich większość drogi na Maglic), Ola w sentymentalnej chustce w barwach naszej klasy, a Łukasz w spodniach, w których dotychczas wstydził się nawet po domu chodzić.

Na górze są stragany z pamiątkami. Próbowałem tam wytłumaczyć starszym paniom, że chciałbym zakupić kieliszek z napisem „Węgry”, ale pani kompletnie mnie nie rozumiała. Najpierw przekonana była że chodzi mi o flaszkę, ale wtedy z pomocą przyszedł mi Łukasz i pokazał ruch jaki się robi przy wychylaniu kielicha. No i cóż, pani od pamiątek szczęśliwa że nas zakumała wstała i pokazała na pobliski bar. No trudno, wróćę ze szczytu bez węgierskiego kieliszka.

Gerlach – w końcu zasłużenie niezdobyty

Kiedy: I 2012

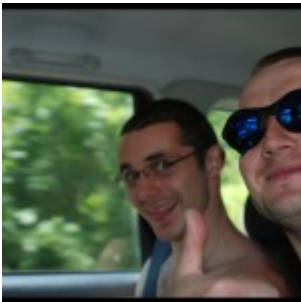
Kto: Dziku, Tomek, Aga, Łukasz

Gdzie: Słowacja

Do 3 razy sztuka? No nie bardzo. Pocieszające jest to, że wycof był w miarę uzasadniony. To tak dla odróżnienia od poprzednich prób, kiedy to mieliśmy piękną pogodę i doskonałe warunki a mimo to na szczyt nie trafiliśmy. Tym razem silny wiatr i obfite opady mokrego śniegu (3-ci stopień zagrożenia lawinowego) skutecznie nas zniechęciły do podjęcia próby wejścia na grań.

Wygląda na to, że Gerlach kandyduje na moją „najtrudniej dostępną górę Korony Europy”. I pora roku nie ma tu nic do rzeczy. Kwestia nastawienia psychicznego. Trudno, za czwartym razem na pewno się uda.





– END –

Bez szczytowania

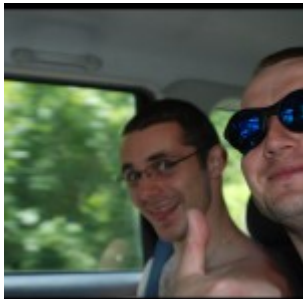
Czas: VI 2011

Skład ekipy: Dziku, Tomek, Aga, Aneta.

Miejsce: Masyw Mont Blanc

Po zejściu z [Kuluaru Y](#) spędziliśmy noc w schronisku i na drugi dzień ruszyliśmy w drogę powrotną do miasta. Zmęczenie wychodziło na każdym kroku. Ktoś zgubił bidon, ktoś inny... linę. I ten ktoś wracał po tę linę z moreny z powrotem na lodowiec. I szukał, szukał, aż znalazł. Pewnie gdyby nie była pożyczona to by tam już została. Po zejściu z lodowca złapała nas ulewa. Oprócz tego, że mokliśmy, spowodowała ona wezbranie strumieni. Przekraczanie ich było nieco uciążliwe. Szczególnie gdy np. po przejściu ostatniej osoby okazywało się, że czyjeś kijki zostały na drugim brzegu.





W końcu jednak przemoczeni dotarliśmy do samochodu. Wbrew naszym zasadom „byle jak najtaniej” lokujemy się w Argentiére w pensjonacie. Ku naszemu zaskoczeniu ceny są bardzo dostępne bo tylko 18€ za osobę. W tej cenie nocleg w łóżku, prysznic, kuchnia i pralka z suszarnią. Tylko butów do suszarni nie mogliśmy włożyć żeby nie zasmrodzić prania. Właścicielka pensjonatu poznała się na nas. Tym bardziej, że przypadkowo potrzebowała moje buty przesunąć i odskoczyła krzycząc „WHAT A SMELL!”. Podsumowując – pensjonat ładny i przyjazny. A przynajmniej do momentu jak Aga znalazła pianino i zaczęła na nim pogrywać.

W mojej głowie ciągle kotłowały się myśli typu „co dalej?”. Wracać do domu czy jechać na Col. du Midi i spróbować dostać się nocą na Mont Blanc? Za tym pierwszym przemawiały prognozy,

które nie pozostawiały żadnych złudzeń. Sprawdzamy pogodę w internecie, podpytujemy ludzi, potem jeszcze studiujemy wywieszki w Chamonix. Wszystko świadczy o tym, że pogoda jest i będzie do bani. Nikt się na szczyt nie wybiera, tym bardziej, że przed sezonem jedyna działająca kolejka to ta na Aig. du Midi.

Jednak na drugi dzień, czyści, wyprani i pachnący pakujemy się w deszczu do samochodu i decydujemy się zostać jeszcze dwa dni. Dłużej nie możemy. Odwozimy Marcina na pociąg do Paryża, po czym we czwórkę jedziemy do Chamonix na pole namiotowe. Trochę się przejaśnia więc idziemy pozwiedzać miasto. A tam – same ekstremalne doznania. Można zjeść extreme sandwich, popić vertical coffee i położyć się spać w hotelu Mont Blanc. Zresztą chyba wszystko tu się nazywa Mont Blanc, parking, księgarnia i sklep mięsny też. Wieczorem wino i kozi ser konsumujemy na karimatach przed namiotem. Niebo zachmurzone – ale nie pada. Trzeba spróbować...

Rano ładujemy się do kolejki na Aig. du Midi. Tu zaczyna się szaleństwo z Japończykami. Fotografują wszystko. Fotografują nawet nas, ale to jest akurat fajne. Gdy wysiadamy z kolejki i uzbrajamy się w szpej szłyszemy: „W00W, YOU ARE COOL!”. To jedna z Japonek – na oko między 17 a 45 lat – chce się z nami sfotografować. Aga wciska jej do ręki czekan, błyskają flesze, jest wesoło. Moglibyśmy tu zostać robiąc za atrakcję. Zadanie jest o tyle ułatwione, że w koło panuje gęsta mgła i nic kompletnie nie widać. A nas widać! No ale wjechaliśmy tu w jakimś wyższym celu. Wyższym o jakieś 1000 metrów. Z myślą o NIM wychodzimy za furtkę, zostawiając za sobą cywilizację i tłumek rozkrzyczanych turystów.

Śnieżną, ostrą granią schodzimy na płaski jak stół lodowiec. Zostawiamy wydeptany do schroniska ślad i torując drogę w głębokim śniegu zmierzamy w kierunku stromego zbocza na skraju przełęczy. Stąd chcielibyśmy w miarę możliwości zdobyć jakiś szczyt. Mamy na to jedynie dobę a pogoda nie pozwala na wiele. Od rana, bez przerwy wieje bardzo silny wiatr. Po rozłożeniu

namiotów pozostaje tylko jedno – położyć się w nich i czekać. Jednak Tomek – z zawodu budowlaniec – wychodzi i zabiera się za budowę muru wokół namiotu. Na moje pytanie czy nie potrzebuje pomocy odpowiada: „myślisz, że taki murek to każdy może sobie tak o zbudować?”

Po południu ruszamy na zwiad. Dzień jest długi więc po cichu liczymy, że uda się przekroczyć 4000 m w drodze choćby na Mont Blanc du Tacul. Niestety – kręcimy się w kółko. Droga znana z map i relacji jakby przestała istnieć. Brnąc w głębokim śniegu natykamy się albo na przepaść, albo na lodową ścianę – nie do przebycia z tym sprzętem co mamy. A mamy... jedną śrubkę lodową i 20 metrów liny. Ale przecież tędy prowadzi „normalna” i popularna droga na Mont Blanc! Tymczasem przed nami trudności nie do przebycia. Czy to z powodu pogody jaka panowała w ostatnich dniach? Jakby w celu przekonania się o bezradności wchodzę kilka metrów po mocno nachylonej lodowej ścianie. Wkręcam tę jedyną śrubkę, tak o, dla testu jak to jest, po czym wykręcam ją i złączę. Żeby nie dać za wygraną umawiamy się, że przez całą noc będziemy co pół godziny sprawdzać czy nie idzie jakaś grupa na szczyt. Ciągłe liczę na to, że jeśli w nocy „coś” zdobędziemy to zdążymy do południa wrócić kolejką na dół i dojedziemy do Polski na czas.

Resztę wieczoru spędzamy leżąc w szarpanych silną wichurą namiotach. W pewnym momencie ze śpiwora obok dochodzi mnie nieśmiały głos:

– Jareczku... a może jest jeszcze jakaś kolejka na dół...?.

Przez moment nie wiem o co może chodzić ale dociera do mnie, że przecież dla Anety ten wyjazd to pierwszy kontakt z tego typu „turystyką”.

– Anetko, przecież jest cudownie!

Nie przekonało jej to mimo, że Dzik powiedział co myślał.

Nocą co jakiś czas wystawialiśmy głowy z namiotu. W tym wietrze nie można było usłyszeć czy ktoś przechodzi czy nie. Niestety, do rana na lodowcu królował jedynie silny wiatr. Nie pozostało nic innego jak spakować się i pokonać 300 metrów

przewyższenia do kolejki, zjechać do miasta, wsiąść do auta i wracać. Prognoza, która znana nam była jeszcze przed wyjazdem sprawdziła się. Możemy jedynie czuć satysfakcję, że udało nam się przejść kuluar i dzięki temu nie wracamy z niczym.

Zresztą, spędzenie nocy na lodowcu na 3500 m. n.p.m. w szarpanym wiatrem namiocie – to już jest COŚ WSPANIAŁEGO!

A przynajmniej dla niektórych!

– END –

PS. Kto znów wyrzucił ogryzek? Przecież mówiłem, że dziki bardzo lubią ogryzki i żeby nie wyrzucać.

Zima w rytmie lata

Wpis dla udokumentowania miłego spotkania w plenerowym studiu Radia Opole:

„W rytmie lata” w środę (13.07) po godz. 17:00 wybierzemy się na najwyższy szczyt gór Ural.

„Narodnaja (1894m.n.p.m) to najdalej wysunięty i najtrudniej dostępny szczyt Korony Europy. Tę najwyższą górę Uralu postanowili zdobyć zimą i udało się. O swojej wyprawie opowiedzą podczas spotkania w naszym studiu plenerowym w środę po 17:00 w audycji ” W rytmie lata”. Zanim usłyszymy głosy zdobywców, podziwiamy razem (także dla ochłody) zdjęcia z tego malowniczego, ale jakże groźnego miejsca.”



Irlandia – Carrantuohill

Pasma: Macgillicuddy's Reeks

Państwa: Irlandia

Najwyższy szczyt: Carrantuohill

Wysokość: 1038 m. n.p.m.

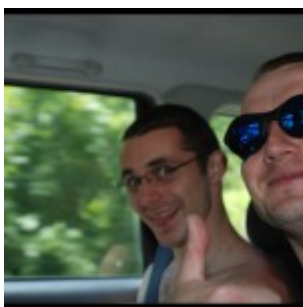
Miejscowość: Killarney-Gortboy

Szacowany czas: 1 dzień



Macgillicuddy's Reeks to góry ładne i przyjemne. Szczególnie jak nie pada. Wszędzie wkoło biegają owieczki. Wilków brak. Miejscowa ludność przyjaźnie nastawiona. Osobiście czułem się tam wolny i szczęśliwy. Myślę, że jeszcze ciekawiej byłoby odwiedzić te góry zimą. Ale obojętnie o jakiej porze roku – polecam i zachęcam.

Galeria



Relacja

Cel – Carrantuohill (1038 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2010

Kto – Dzik

Sobota, późny wieczór, dom w małej miejscowości u podnóża gór. Najedzony, umyty i ogolony siedzę sobie i popijam irlandzkie piwo. A przecież zaledwie parę godzin temu stałem przemoczony w chmurze jakieś 900 metrów wyżej. Skakałem po śliskich skałach ostrej grani i nie miałem pojęcia gdzie spędzę noc. Teraz przypomina mi o tym uczucie zmęczenia oraz stojące w kącie, wypchane gazetami buty. Jak to się stało, że teraz siedzę w gaciach i sprawdzam na laptopie pocztę? Zaczęło się to kilometr stąd, dwa dni wcześniej.

Czwartkowe popołudnie. Miejsce zwane Beaufort Bridge. Kończy się moja podróż autobusem i jednocześnie kończy się kac po zwiedzaniu poprzedniej nocy dublińskich pubów. Z kilkunastokilogramowym plecakiem ruszam asfaltową drogą w kierunku gór. Po 9-ciu km dochodzę do parkingu. Na murku instrukcje dla wybierających się w góry. M.in. było tam napisane „Do not climb alone”. Nie wiem co to oznacza, nie mam talentu do języków obcych.

Maszeruję dalej. Po przekroczeniu rzeczki rzuca mi się w oczy miejsce pokryte grubą, i przede wszystkim zupełnie suchą ściółką. Jak się potem okazało były to jedyne suche 2 metry kwadratowe na całej Wyspie. Idealne miejsce na mój mały domek składający się z samego tropiku i stelaża. W nocy budzą mnie silne podmuchy wiatru i deszcz. Namiot znosi to dzielnie więc bez problemu zasypiam.

Budzę się rano i widzę góry, słońce, i tęczę. Miałem dziś bojkotować irlandzki klimat. W tym celu zamiast utworów

Clannada czy Loreeny McKennitt nagrałem sobie muzykę zespołu Sabaton i Marylina Mansona. Rozglądam się jednak i wiem, że się nie uda. Jest pięknie. Na szczęście wynajduje jeszcze katalog z muzyką Olivera Shanti. Pasuje jak ulał. Jem śniadanie, składam domek i ruszam w górę. Dochodzę do miejsca gdzie zaczyna się strome podejście na grań zwane Devil's Ladder. I znów tabliczka z zupełnie dla mnie niezrozumiałym zdaniem w języku obcym: „travellers are strong advised to avoid the route”. Wyrażenie „advised to avoid” tłumaczę jako „prosto do góry”, więc pnę się po kamieniach do góry i wkrótce stoję na grani. Stąd – już w chmurach – po ścieżce i kopczykach kieruję się na szczyt Carrauntoohil. Dopiero na samej górze zauważam we mgle 5-cio metrowy krzyż. Po powrocie ktoś mnie zapytał co się myśli stając na najwyższym szczycie Irlandii. Ja np. sobie pomyślałem coś w stylu: „Ja pier.ole, nic nie widać”. Ale nic to, ważne, że szczyt zdobyty. Decyduję się teraz potrenować orientację z mapą i kompasem. Po omacku trafiam na odpowiednią grań i wkrótce stoję na Beenkeragh – drugim pod względem wysokości szczycie Irlandii. Zaczyna się coraz bardziej rozpogadzać. Po przeciwległej stronie doliny wyłania się kolejny cel. Jest to Caher, który wraz z poprzednimi dwoma górami tworzy trójkę jedynych szczytów na Wyspie przekraczających 1000 m. n.p.m. Kiedy na nim stoję niebo jest już zupełnie błękitne. Wyraźnie widzę krzyż na szczycie Carrauntoohil. Postanawiam wejść tam raz jeszcze. Taka pogoda w tych górach to podobno rzadko spotykane zjawisko. Wcześniej jednak wchodzę na położony obok wierzchołek o wysokości 975 m. To już w ramach planu wejścia na wszystkie irlandzkie 3-tysięczniki, czyli szczyty o wysokości przekraczającej 3000 stóp. Zatem popołudniu, już przy doskonałej widoczności, siedzę raz jeszcze pod krzyżem. Jest piękna pogoda a mi się nigdzie nie śpieszy. Pełen luz.

Wyluzowałem się tak bardzo, że dopiero po zejściu z grani zauważyłem brak kurtki. Nie mogę uwierzyć – jak można będąc w irlandzkich górach zgubić kurtkę? Jak można w ogóle zgubić kurtkę? A jutro co zgubię? Buta?! Nie mogąc się z tym pogodzić

wbiegam niczym Hussein Bolt raz jeszcze na grań. Kurtki jednak nie widzę. Przez moment rozważam wejście po raz kolejny na szczyt. Nie chcę jednak nabawić się jakiejś awarii na skutek przeforsowania. Zbiegam na dół i powolutku maszeruję w kierunku ujścia doliny. Wymyślam sobie, że jest to znak, że czas najwyższy kupić nową kurtkę. I że ta nowa kurtka życie mi wkrótce uratuje. Z zadumy wytrąca mnie para, która jako ostatnia schodziła ze szczytu. -Did you lose something? – dziewczyna podaje mi moją zgubę. Zamiast się cieszyć zrobiłem minę jakbym był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przecież ja już sobie historyjkę wymyśliłem. A tutaj co? „Oszukać przeznaczenie”? Ale jak pomyślę o zapowiadanych na jutro deszczach... No dobra, sięgam po kurtkę, dziękuję uprzejmie. Najwyżej jutro ją zgubię. Namiot rozkładam w tym samym miejscu co wczoraj. W nocy znów przychodzi do mnie ten sam żuk, te same pająki i mrówki. I ponownie ten sam schemat, żuka wypraszam na zewnątrz, pająki zabijam, a mrówki... mrówek już nie ruszam. I tak po roznieceniu wstają i idą dalej. Noc jednak różni się tym od poprzedniej, że jest bezwietrzna, a niebo jest zupełnie czyste. Zasypiam przy otwartym namiocie. Nade mną gwiazdy i księżyc w pełni.

Rano pogoda nie jest najlepsza, ale postanawiam zrealizować drugą część planu i przejść się po grani i pozostałych wierzchołkach. Jest sobota, na drodze sporo turystów. Dlatego omijam tym razem Devil's Ladder i wchodzę na górę inną drogą. Przy bardzo kiepskiej widoczności posuwam się granią – zresztą momentami bardzo ostrą – na wschód. Wchodzę kolejno na: Cnoc an Chuillin (958), An Saru (926), Maolan Bui (973), Cnoc na Peiste (988), Big Gun (939) oraz Cruach Mhor (932).

Dochodzę do obniżenia i robię dziwną rzecz. Zamiast podejść ścieżką na ostatnie – 700 metrowe wzgórze i dojść do asfaltowej drogi w Gap of Dunloe, tak jak przecież od początku planowałem, postanawiam trawersować i zacząć już schodzić z gór. Była to całkowicie błędna decyzja. Okazało się, że przez długi czas musiałem przedzierać się przez zarośla i kiedy

dochodzę do zabudowań jestem kompletnie przemoczony i zmęczony. A przede mną jeszcze kilka kilometrów asfaltowej drogi do... no właśnie. Właściwie to ja nawet nie bardzo wiedziałem dokąd idę. I po co.

Kiedy dochodzę do Beaufort Bridge jest 20-ta. Zatem wędruję z plecakiem od 12-tu godzin. Autobusy do Killarney już tego dnia tędy nie przejeżdżają. Stoję na skrzyżowaniu i wmawiam sobie, że jest jakiś powód dlaczego tu jestem o tej porze. Musi być jakiś powód dlaczego nagle zszedłem z gór i stoję tu teraz bezradnie, 10 km od Killarney, skąd dopiero jutro rano mam autobus do Dublina. Aby ten powód poznać musiałem spędzić tam 10 minut. Po takim czasie wystawiam rękę i decyduję się łapać stopa do miasta. A potem... potem zobaczymy co dalej. Po paru minutach zatrzymuje się samochód. Kierowca ma na imię Steve. Podczas jazdy dowiaduję się, że jest muzykiem i dosłownie wczoraj świętował wydanie płyty. Pyta się, czy śpię w Killarney ponieważ zaprasza mnie na koncert, jaki dzisiaj grają w jednej z restauracji. Ja określam mu krótko moją sytuację. Steve puszcza płytę z irlandzką muzyką. Podaje mi pudełko i pokazuje na mężczyznę na okładce. Mówi – „Prześpisz się więc u niego”. I tak, po drobnych zakupach w mieście ląduję z powrotem w Beaufort. W domu, w którym mieszka Aaron i Brendan, a także tymczasowo Steve.

Po obiedzie Brendan i Steve jadą na koncert. Ja postanawiam zostać, żałuję tego bardzo ale czuję, że tego dnia nie utrzymam się już długo na nogach. Do późna rozmawiam z Aaronem. Dowiaduję się od niego m.in., że zna sławnego irlandzkiego polarnika i jedyne go człowieka na świecie, który dwukrotnie wszedł na najwyższe szczyty każdego z kontynentów, w tym oczywiście również na Everest. Ten człowiek to Pat Falvey i... mieszka parę domów dalej. Żałuję, że nie mogę zostać tu chociaż dzień dłużej. Ale i tak jest pięknie: sobota, późny wieczór, dom w małej miejscowości u podnóża gór. Najedzony, umyty i ogolony siedzę sobie i popijam irlandzkie piwo...

Rano jem śniadanie i szykuję się do wyjścia. Na żadnego z

lokatorów się nie natknąłem. Może odsypiają koncert. Zostawiam notkę i idę na to samo skrzyżowanie co wczoraj wieczorem. Dziś świeci słońce i jest piękny dzień. Do tego mam wyjątkowe szczęście, bo od przyjscia na przystanek już po minucie przyjeżdża autobus do Limerick. Szczęście albo i nie. Bo tym samym zakończyła się przygoda z irlandzkimi górami.

Dla miłośników klimatu: jeden z utworów Brendana znajduje się w linku

<http://www.myspace.com/brenosullivan>

Na zakończenie cytaty z książki Pata Falvey'a:

„IF YOU THINK YOU CAN, YOU WILL. IF YOU THINK YOU CAN'T, YOU WON'T”

– END –

Ural

Pasma: Ural

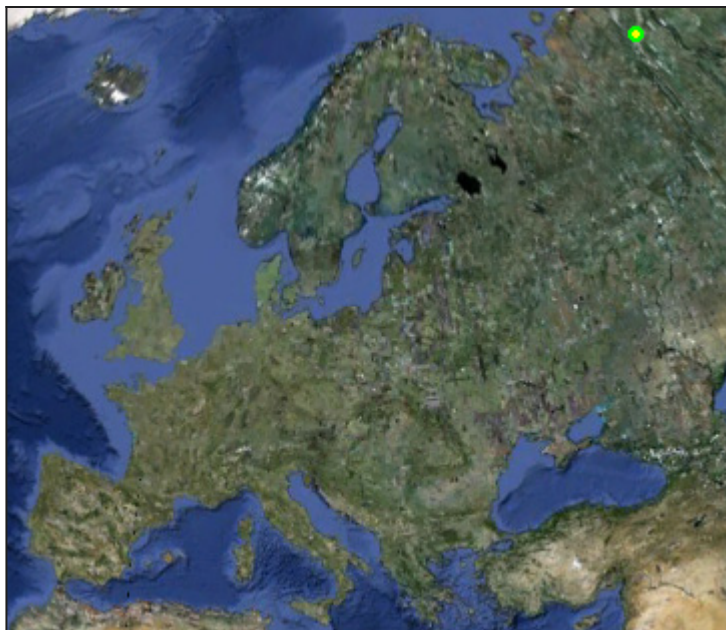
Państwa: Rosja

Najwyższy szczyt: Narodnaja

Wysokość: 1894 m. n.p.m.

Miejscowość: Inta, Kożym

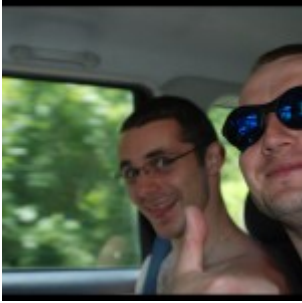
Szacowany czas: Od kilku dni do kilku tygodni



Wejść na najwyższą górę Uralu jest łatwo. Trudniej się pod nią dostać. Od najbliższej stacji dzieli ją 150 km tajgi, tundry i niezamieszkanymi terenów górskich. Istnieje jednak wygodna, lecz kosztowna opcja skrócenia wędrówki o połowę drogi. Kontaktując się z władzami parku można zamówić transport specjalną ciężarówką. Dojechać nią można do brodu na rzece Kożym. Ta rzeka potrafi latem przy dużym stanie wody sprawić spory kłopot. Pewnie za odpowiednią cenę albo ewentualnie na stopa można się dostać pojazdem do samej kopalni. A stąd już tylko 25 km do szczytu. Latem podczas wędrówki uciążliwa wysoka temperatura i chmary komarów. W górach z kolei trzeba być przygotowanym nawet na przymrozki. My zdecydowaliśmy się przebyć tę trasę zimą. Nie mieliśmy wątpliwości co do temperatur i nie mieliśmy kłopotu z komarami.

Galeria





Relacja

Cel – Narodnaja (1894 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – marzec 2011

Kto – Dziku & Maciek & Łukasz & Madzia

Przyszedł taki czas, kiedy postanowiłem zdobyć **najwyższą górę masywu Ural – Narodnąję**. Góra ta uważana jest również za najwyższy szczyt europejskiej części Rosji, więc byłby to kolejny diament do mojej Korony Europy. Jedyne, co mnie zniechęcało to informacje o potwornych ilościach komarów, jakie czyhają tam na turystów. Co zrobić żeby uniknąć komarów, ale jednocześnie zdobyć szczyt? Stwierdziłem, że zamiast kupować skrzynki środków na insekty można np. pojechać na Ural zimą.

Mimo dosyć ambitnego planu nie było najmniejszych trudności ze znalezieniem towarzyszy podróży. Ostatecznie 4-osobową grupę szturmową oprócz mnie, czyli Dzika stworzyli: Madzia, Łukasz i Maciek.

Ponieważ przedsięwzięcie różniło się od wszystkiego, co dotychczas robiliśmy przygotowania trwały bardzo długo. Do jednych z ważniejszych różnic należało to, że musieliśmy się przygotować do przebywania tygodniami w ujemnych temperaturach, i co za tym idzie zakupić sporo profesjonalnego sprzętu. Inną, zupełnie nową dla nas kwestią było to, że chcieliśmy połączyć naszą wyprawę z wyższym niż sama góra celem. Tym celem miało być uświadamianie społeczeństwa w jak złej sytuacji znajdują się w Polsce chorzy na Stwardnienie Rozsiane. Są to dziesiątki tysięcy ludzi najczęściej zdanych wyłącznie na siebie i swoich bliskich. Pomoc oferowana przez państwo oceniana jest przez międzynarodowe organizacje jednoznacznie: Polska w rankingu obejmującym 29 europejskich państw znajduje się na przedostatnim miejscu. Stąd pytanie i jednocześnie hasło naszej wyprawy.

Zapraszam do przeczytania relacji z zimowej wyprawy po

najwyższy szczyt Uralu, czyli:

„CO ROBIAŁ POLACY NA KOŃCU EUROPY?”

27 II 2011

O godz. 16:20 wyjeżdżamy pociągiem z Wrocławia do Lwowa. Grupa przyjaciół nie tylko odprowadziła nas na stację, ale nosiła razem z nami ogromne ilości bagaży. Kiedy złożyliśmy to wszystko w naszym przedziale okazało się, że dla nas nie ma już miejsca. Staliśmy więc w korytarzu i próbowaliśmy obmyślić taktykę. Od momentu odjazdu przez następne parę godzin było przepakowywanie się i próby znalezienia wygodnej pozycji do odpoczynku. Udaje nam się wygospodarować pewne minimum miejsca żebyśmy mogli wejść do przedziału, ale wokół nas jest „Oszukać przeznaczenie 5”. Nad głowami kolebią się plecaki z czekanami, łopata i siekierą. W pewnym momencie z grzejnika zsuwa się narta i krawędzią spada mi na palce u bosej stopy. Często przed wyjazdem żartowałem, że może po powrocie nie będę miał wszystkich palców, ale że jednego z nich stracę już za Oławą?! No dobra, palec ocalał, ale losy paznokcia będą ważyły się jeszcze długo po powrocie.

28 II 2011

We Lwowie jesteśmy punktualnie. I od razu dobra wiadomość – pociąg do Moskwy odchodzi z tego samego peronu, więc odpada noszenie bagaży. Jednak karkołomna operacja załadowania się do wagonu typu placart nas nie ominęła. 1 osoba stoi przy bagażu znajdującym się na peronie, 1 układa bagaż w wagonie, 2 osoby na zmianę biegają z ważącymi do 35 kg pakunkami.

Podróż minęła szybko. Dobę później jesteśmy w Moskwie.

01 III 2011

Stoimy na jednym z peronów Dworca Kijowskiego w Moskwie. Wynajmujemy wózkowego, który przejmuje kilka sztuk bagażu. Resztę na plecy, na klatę, w ręce, w zęby, kto gdzie może i idziemy przed dworzec. Za 1000 rubli wynajmujemy busa i jedziemy na dworzec Jarosławski. A tam... znowu wózek i do

poczekalni. Kiedy przechodzimy przez bramki do wykrywania metali wszystko piszczy ale z niewiadomych przyczyn wg ochroniarzy nie wzbudzamy podejrzeń. Pozwalają przejść i nie są zainteresowani żadnym z naszych plecaków. Mamy tu cały dzień czekania, więc dzielimy się na dwójki i kiedy jedna para robi zwiady po okolicy, druga w tym czasie pilnuje bagażu. Niedaleko dworca znajdujemy dobrą i stosunkowo niedrogą stołówkę. W końcu jemy normalny obiad. A nawet na wszelki wypadek dwa. Widzimy, że przy kilku stolikach do obiadu zamówiono butelkę wódki. Na zwrócenie uwagi zasługiwał również labirynt, jaki prowadzi do toalety. Ruszyłem po strzałkach. Wchodzę w kolejne korytarze, widzę kuchnię z obsługą, przechodzę koło pani, która obiera ziemniaki, w kolejnym pomieszczeniu ktoś zmywa naczynia – źle skręciłem, wracam do strzałek. Po paru zakrętach ślepy zaułek i biuro z komputerem. Tu już zaprowadziła mnie ciekawość, bo toaletę zobaczyłem chwilę wcześniej – obok drzwi z napisem „dyrektor”. Po południu znów zawitamy z Maćkiem na tę stołówkę, i znów zmierzę się z labiryntem. Jednak nie uda mi się go po raz drugi – tym razem po ciemku – pokonać. Widocznie toaleta jest czynna wtedy, gdy w pracy jest dyrektor.

W Moskwie mamy do spełnienia jedną trudną misję – chcemy zatankować do kanistrów benzynę do naszych maszynek do gotowania. Jednak szczegóły i perypetie związane z operacją „jak przejechać 2 tys. km przez Rosję wioząc petardy na niedźwiedzie oraz 30 litrów benzyny ” lepiej przemilczę. Warto jednak napisać o całej akcji związanej z załadunkiem do pociągu. O tym, z którego peronu on odjeżdża dowiedzieliśmy się dopiero na 25 minut przed jego odjazdem. Jakby tego było mało, „prowadnica” nie chciała zaakceptować naszych wydrukowanych w domu biletów. I wtedy zaczęła się jazda na całego. Po raz pierwszy od momentu wyjazdu cała grupa jest w rozsypce. Ja siedzę w poczekalni przy bagażach. Coraz bardziej zaniepokojony zerkam na zegar. Nie wiem kompletnie, co jest grane. W tym czasie Madzia czeka z benzyną na peronie ale do pociągu wsiąść nie może z powodu „lewych” biletów. Łukasz biega za wózkowymi a Maciek próbuje przekonać ludzi w kolejce

do kasy, że powinni go wpuścić bo ucieknie mu pociąg, na który notabene od 10h grzecznie czekał. Szaleństwo trwa przez następne 20 minut. Ja przerzucam 200 kg bagażu przez barierki poczekalni, pomaga mi w tym jakiś dziadek. Łukasz to odbiera i co się da to próbuje załadować na wózek. Maciek jest w tym czasie odsyłany od kasy do kasy, więc na 10 minut przed odjazdem pociągu wciąż tłumaczy ludziom w kolejnych ogonkach, że musi pilnie bilety wymienić. W końcu rozpoczął się szaleńczy bieg. Do przebycia mieliśmy całą długość peronu (nasz wagon był 2-gi z 20-tu!!!). Na prowadzenie najpierw wysunął się wózkowy, ale kółko mu podskoczyło na nierówności i z wózka spadła torba a za nią komplet pulek z nartami. Dobiega do niego Łukasz z torbą i plecakiem, zaraz potem pojawia się wielki wór i ja – niewiele większy od wora. Nagle przebiega koło nas Maciek wymachując biletami. A Madzia... wciąż pilnowała na peronie benzyny. Jej nadzieja na to, że nam się uda, zaczęła już wygasać. I wtedy zobaczyła biegnący z odsieczą konwój! Jeszcze szybka kontrola paszportowa przed drzwiami wagonu i zaczynam się przepychać z pierwszą partią bagażu do naszych miejsc, oczywiście... na drugim końcu wagonu, który jest już pełen ludzi, toreb, kartonów. Kiedy czekam na towarzyszy i resztę naszego dobytku uświadamiam sobie, że pociąg już ruszył. A ja nawet nie wiem czy reszta zdążyła z tym całym bajzłem wsiaść. Nagle zaczęły do mnie ocierać kolejne torby, plecaki. Okazało się, że ludzie w wagonie postanowili pomóc i podawali je sobie z rąk do rąk. Nareszcie pojawia się reszta ekipy. Okazuje się, że nikt i nic nie zostało na peronie.

2 III 2011

Budzę się przed 22-gą z czerwonymi i spuchniętymi oczami. A mówił Sasza żeby nie pić piwa po wódce. Teraz mnie łeb boli. Ale było całkiem miło. Krótkie wyjaśnienie – popołudniu wpadł do naszego boksu Sasza – Białorusin jadący na azjatycką stronę Uralu. Chciał się zintegrować, a ponieważ był bardzo miły i twierdził, że ma właśnie tego dnia urodziny nie mogliśmy mu odmówić. Poczęstował nas litrem wódki i zakąską w postaci pysznego chleba, słoniny i oliwek. W takiej atmosferze podróż

szybko mija. Nawet, jeśli trwa kilka dni.

Powoli dojeżdżamy do Inty, a temperatura na zewnątrz wynosi jedynie -6! Maciek podsumowuje: „Stary, pod Śnieżką by nas teraz wypizgało a tu co? -6?! Jestem zdołowany...”

3 III 2011

Rano, po 36 godzinach jazdy pociągiem wysiadamy w Incie. Meldujemy się na dworcowym posterunku policji i wymieniamy się z nimi numerami telefonów. Zapewniają nas, że jeśli nie wrócimy za 3 tygodnie to będą nas szukać. Ogólnie miłe przyjęcie.

Dzięki temu, że mamy ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy możemy praktycznie od stacji od razu ruszyć w kierunku gór. Ale nie do końca! Wpadamy jeszcze do sklepu po artykuły z „zestawu Saszy”, czyli po wódkę i słoninę. Dopiero teraz jesteśmy w pełni gotowi do wymarszu.

Początkowy, 5 km etap jest mało atrakcyjny – ubity, rozjeżdżony śnieg, kamienie i pełno ciężarówek. Ale po minięciu ostatniego skrzyżowania zostajemy tylko my i nasze pulki. Teraz zaczyna się prawdziwa walka. Droga jest wprawdzie dobrze widoczna, ale jest też przysypana śniegiem. Przeładowane pulki co kilka kroków przewracają się. Grzęźniemy w zaspach. Po prostu mordęga. Przechodzimy w tych warunkach jeszcze z 10 km. Namiot rozbijamy w lesie kilkanaście metrów od drogi. Podczas rozbijania namiotu zapadamy się w głębokich zaspach, to tak na dokładkę do wysiłku z całego dnia.

4 III 2011

Następnego dnia od nowa, krok po kroczku, metr po metrze do przodu. Walczymy w ten sposób do wieczora i urywamy kolejne 15 km. W tym tempie to za jakiś tydzień dojdziemy na Narodnaja i natychmiast trzeba będzie wracać. Rozwiązanie pojawiło się samo. Zaświeciło z daleka potężnymi reflektorami i rozbiło swoją masą 1,5 metrową zaspę. Nam pokonanie tej zasy zajęło jakieś 15 minut. W ten sposób nadjechała potężna ciężarówka przystosowana do przewozu ludzi. Maciek zagaduje kierowcę, a ten zgadza się nam pomóc. Zwijamy szybko dopiero co rozłożony

namiot i ładujemy się z całym bajzłem do środka. Jesteśmy bardzo głodni i spragnieni. W ciągu dnia zużyliśmy zapasy a teraz, kiedy powinniśmy w namiocie topić śnieg i przygotowywać kolację siedzimy w ciężarówce. Jednak przed wjazdem na płaskowyż nasi rosyjscy wybawcy zatrzymują się na posiłek. Widząc nasz wygłodniały wzrok dzielą się z nami chlebem, wędzonym mięsem i samogonem lanym z 3 litrowej piersiówki. Po paru godzinach jazdy po płaskowyżu dogania nas drugi – znacznie mniejszy, ale i nowocześniejszy pojazd. Kieruje nim dyrektor kopalni, który proponuje, żebyśmy się z nim zabrali. Po kolejnej akcji przeładunkowej pędzimy skacząc po zaspach z prędkością nawet do 30km/h w kierunku gór. Nad ranem docieramy do kopalni. Spać idziemy dopiero o 5 rano. 23 godziny na nogach.

5 III 2011

Dyrektor ulokował nas w eleganckich, ciepłych pokojach z wygodnymi łózkami i czystą pościelą. Możemy nareszcie po tygodniu w podróży wziąć prysznic. Do dyspozycji mamy również czajnik elektryczny, więc nie musimy topić śniegu. Nie nastawialiśmy się na takie udogodnienia w podróży, ale gdy już się natrafiły to tym bardziej je doceniamy. Tym bardziej, że Madzia wyjechała z Polski przeziębiona. Ten epizod z kopalnią pozwolił jej zwalczyć gorączkę i dojść do siebie. Popołudniu, w towarzystwie kopalnianego psa, udajemy się na pobliski szczyt o wysokości 1300 metrów, aby podziwiać zachodzące słońce.

6 III 2011

Przystajemy na propozycję dyrektora i ten wczesnym rankiem podwozi nas kolejne kilkanaście km w stronę Narodnaji. Za wszystko, co dotychczas dla nas zrobił nie chce ani kopiejki. Mówi, że „to u nich normalne”. A zrobił wiele. Dzięki niemu czyści, wypoczęci, a przede wszystkim o tydzień wcześniej niż planowaliśmy wyruszamy by przebyć ostatni odcinek, jaki dzieli nas od szczytu.

Podchodząc kilka godzin mniej lub bardziej stromymi stokami o

godzinie 14:45 wszyscy stajemy na szczycie. Na końcowym podejściu komfortu dodawały raki, gdyż śnieg na stoku był bardzo mocno zmrożony. Praktycznie nie dało się go „ugryźć” nawet krawędzią twardej podeszwy górskiego buta.

Pogoda na szczycie była piękna. Temperatura wprawdzie powoli zbliżała się do -20 stopni, ale suche powietrze i całkowity brak wiatru powodował, że nie była ona tak odczuwalna. Kiedy już nacieszyliśmy się już widokami oglądanymi z najwyższego szczytu Uralu postanowiliśmy schodzić. Zejście było bardzo często przerywane robieniem zdjęć pięknego zachodu słońca. Do kamienia, pod którym „zaparkowane” czekały na nas pulki dotarliśmy już w całkowitych ciemnościach. Miejsce to wcześniej przygotowaliśmy pod namiot, więc teraz rozłożyliśmy sprawnie obóz i odpaliliśmy maszynki. Czas na zasłużony posiłek.

7 III 2011

Kolejnego dnia próbowaliśmy dotrzeć pod Manaragę. Niestety droga, którą wybraliśmy nie była najlepsza. Zatrzymało nas strome zejście kotłem do doliny Manaragi. Masy śniegu, jakie się tam nazbierały oraz ślad po lawinie nie zachęcały do prób zejścia tą drogą. Do tego stanęliśmy jak zahipnotyzowani wpatrując się w dolinę. Wspólnie przyznaliśmy, że przed nami rozpościera się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widzieliśmy. Postanowiliśmy tu na tej przełęczy z zamarzniętym jeziorkiem rozbić namiot. Podczas rozbijania namiotu stwierdzam odkrywczo, że „robi się zimno”. Rzeczywiście temperatura wtedy spadała już poniżej -20 stopni. Madzia zwróciła uwagę, że z takim podejściem można powiedzieć, że do -20 jest ciepło. Tego wieczoru było jednak zdecydowanie zimno. A w nocy termometr zostawiony na zewnątrz dobił do dna wskazując -30 stopni.

8 III 2011

Eksploracja! Wraz z Maćkiem udajemy się na okoliczne góry. Chcemy poczuć na twarzy wiatr, mróz i po prostu się wyżyć. Madzia i Łukasz zniechęceni wiatrem i słabą widocznością

zostają w namiocie. Wspinamy się na pobliską górę i rozpościera się przed nami płaskowyż. Po prawej stronie, zaledwie kilka kroków od nas płaskowyż urywa się pionową ścianą. Dokoła zawieja i duży mróz. Czasami po płaskim szczycie przetacza się mała trąba powietrzna kręcąca tumanami śniegu. Tego właśnie szukaliśmy. Trochę bólu musi być! Przez następne godziny wędrujemy zataczając łuk wokół kotła. Dochodzimy do miejsca po drugiej stronie i stajemy w miejscu gdzie zaczyna się grań. Wiatr przegania chmurę i dostrzegamy w oddali ciemną plamkę – to nasz namiot. Wracamy do niego tą samą drogą, którą przyszliśmy. Tego dnia wreszcie wyglądaliśmy jak polarnicy – zamrażnięte włosy, oblodzone brwi oraz... szeroko uśmiechnięte mordy.

9 III 2011

Tego dnia przechodzimy w sumie ponad 20 km. Zaczęliśmy od zdobycia jednego z okolicznych szczytów. Był on o tyle wyjątkowy, że widoczna z niego panorama obejmowała całą dolinę Manaragi, okoliczne szczyty i granie, a także samą królową Uralu – Narodnąję.

Potem przyszedł czas na zwinięcie obozu i opuszczenie tego wymarzonego na biwak miejsca. Przechodząc przez kolejne przełęcze dochodzimy do naszego „obozu głównego”, w którym nocowaliśmy po zdobyciu Narodnaji. Zabieramy resztę pozostawionych tu rzeczy i rozpoczynamy marsz w kierunku kopalni. Tuż przed zmrokiem napotykamy inną grupę. Byli to jedyni na tej wyprawie napotkani turyści i... również z Polski! Grupa Azymut Wschód & Przyjaciele dopiero dotarła w góry i właśnie rozbijała obóz. Wymieniliśmy się doświadczeniami i zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. Potem nasza grupa ruszyła w dalszą drogę. Już po zmroku dotarliśmy do malutkich chatek pasterskich nad Jeziolem Bałbanty. Żadna z nich nie nadawała się na nocleg dla 4 osób, ale w jednej z nich chociaż napaliliśmy w piecu i spożyliśmy kolację. A potem do namiotu.

10 III 2011

Tego dnia przeszliśmy jedynie 10 km, ponieważ postanowiliśmy

się zregenerować i odświeżyć w kopalni a w drogę powrotną ruszyć dnia następnego. Koło 1 w nocy, kiedy siedzieliśmy przy herbacie Maciek wyjrzał przez małe okienko. Nagle krzyknął i wybiegł. Mimo wiatru i mrozu wszyscy wyszliśmy na zewnątrz po raz pierwszy podziwiać to piękne zjawisko, jakim jest zorza polarna.

11 III -15 III 2011

Rano opuszczamy kopalnię i zaczynamy ostro maszerować w kierunku Inty. Od dworca dzieli nas 125 km płaskowyżu, tajgi i tundry. Pierwszego dnia przeszliśmy 23 km dochodząc do wiaty nad rzeką. Miejsce na biwak jak malowane. Rozpalamy duże ognisko i smażymy słoninę. Dookoła pełno śladów wilków, ale żaden w nocy nie zawył. Maciek licząc na kolejną zorzę nastawia budzik na 2-gą w nocy. Nie przeliczył się. Stanie przez pół godziny w -30 stopniach zaowocowało zrobionymi przez niego ujęciami niezwykłych, nocnych świateł na niebie. Mimo, że podnieconym głosem próbował nas do tego zachęcić, nikt nie zdecydował się wyjść ze śpiwora żeby mu towarzyszyć.

Następnego dnia znów codzienna ceremonia topienia śniegu na posiłki i herbatę. Dziś chcemy dojść do przeprawy na rzece Kożym. Podobno jest tam chatka, a jak jest chatka to może jest i piec. Dzieli nas od niej 28 km, ale droga jest przetarta i mamy dobre tempo. Po drodze mijamy tereny łowieckie wilków. Świadczą o tym licznie występujące tropy. Kiedy będziemy bliżej rzeki natkniemy się również na ślady dużo potężniejszych zwierząt – łosi. Wokół drogi kilkakrotnie widzimy wyrwy w zaspie, przez którą przebił się łoś. Niestety nie udało nam się zobaczyć żadnego z tych stworzeń.

W pewnym momencie zauważam na drodze coś, co wyraźnie odróżnia się od białej tafli śniegu. Bez wahania podnoszę i pakuję na pulkę bryłę węgla wielkości ludzkiej głowy. Z góry założyłem, że w chatce będzie piec, i że warto to dźwigać przez następne 5 km. Tuż przed całkowitym zmrokiem docieramy do brodu na rzece. Przechodzimy po lodzie i przejmujemy we władanie chatkę położoną nad stromym brzegiem. W środku jest koza! Tzn. taki piec, więc nie targałem węgla na darmo. Rozpalamy ogień i

momentalnie robi się ciepło. Dziś jemy jak ludzie – tzn. rozsiadamy się wokół stołu z ustawioną po środku świecą.

Kolejnego dnia wychodzimy na płaskowyż i licząc po cichu, że uda nam się go przejść całego od początku trzymamy szybkie tempo. Jednak droga prowadząca na wierzchołek wzniesienia sięgającego 640 m. n.p.m. dłuży się niemiłosiernie. Kiedy go osiągamy zerkamy po raz ostatni na majaczące w oddali góry. Z żalem żegnamy się z nimi. Od tej pory maszerujemy w niemal księżycowej scenerii. Płaskowyż ten jest w zimie zupełnie pozbawionym „dekoracji” płaskim terenem. To, co dodaje emocji w monotonnym marszu to piękny zachód słońca. Mimo przebytych 29 km nie udaje nam się dojść do lasu po drugiej stronie wzniesienia. Nocujemy w otwartym terenie.

Nakręceni coraz dłuższymi pokonywanymi odległościami podświadomie dążymy do ustanowienia kolejnego rekordu. Zapominamy, że jest z nami kobieta, która bez narzekania ciągnie takie same sanie jak my. Teraz, kiedy o tym myślę to dziwię się, że nie dostaliśmy kijkiem po głowie. Ale taki jest już Madzi charakter. Oprócz tego, że ta drobna dziewczyna podejmuje się imponujących wyzwań to cele realizuje do końca z uśmiechem na ustach. Dobra forma całej ekipy powoduje, że tego wieczora docieramy do miejsca naszego pierwszego noclegu. Tym samym przekroczyliśmy magiczną granicę 30 km na dzień.

Ostatnie 15km, jakie dzieliło nas od dworca pokonujemy ostatniego dnia wędrówki już na luzie, bez podkręcania tempa. W pobliżu miasteczka widzimy idącego z naprzeciwka mężczyznę. Na sobie nosił czarne, skórzane ubrania, na nogach wysokie glany a w ręku puszka piwa. Kiedy zbliżamy się do siebie dodatkowo podjeżdża starym autem inny, szczerbaty mężczyzna. Wpierw pytają kim jesteśmy i co tu robimy. Mówimy, że wracamy z gór. Są zaskoczeni, że przeszliśmy taki dystans. Pytają czy dużo zdjęć narobiliśmy. Zaczęliśmy się obawiać, że czyhają na nasze aparaty fotograficzne i poczuliśmy niepokój. Facet w skórach sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął czarny, skórzany, nabijany ćwiekami pokrowiec. Czy wyjmie nóż? Nie, za to naszym oczom ukazuje się nowiutki Nikon – oczywiście czarny. Podaje go Madzi, ustawia się koło Łukasza i prosi, żeby zrobić im

zdjęcie. Mężczyzna z samochodu jeszcze nadmienia: „-Też raz kiedyś byłem w górach”. Potem z uśmiechem żegnają nas.

Przechodzimy ostatni kilometr i docieramy do punktu wyjścia, czyli do dworca w Incie. Maciek informuje milicjantów o naszym bezpiecznym powrocie, następnie kupujemy bilety i pozostaje już tylko czekać do północy na najbliższy pociąg do Moskwy.

16 III-19 III

W drodze powrotnej czekało nas jeszcze trochę przygód. W pociągu z Inty Madzia musiała się chować przed pijanym Tatarem, który chciał ją porwać do domu i pojąć za żonę. Z niewiadomych względów nasza koleżanka odrzuciła ofertę zamieszkania na Uralu Południowym i posiadania własnego konia. Poza tym mimo zredukowanej ilości bagażu w Moskwie znów czekały nas roszady i bieganie na tury, żeby się przemieścić między dworcami i pociągami. A we Lwowie zgarnął nas do busa sympatyczny Ukraińiec, który pokazał jak sobie umie radzić z miejscową milicją i ukraińskimi strażnikami granicznymi. Lekcje, jakie otrzymaliśmy pozwoliły nam z kolei sprawnie uporać się z polską kontrolą. Dzięki temu częściowo ominęliśmy kolejkę i zyskaliśmy cenne minuty. Na dworzec w Przemyślu przyjeżdżamy dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy wrzucamy bagaże z peronu do pociągu przybiega Łukasz z biletami. Wsiadamy i w tym momencie pociąg odjeżdża. Za nami 3 tygodnie niezapomnianych przeżyć, mnóstwo pozytywnych wrażeń i życzliwych ludzi. Aby uczcić przygodę z uśmiechem wychylamy po kieliszku wódki. Wtedy do przedziału zagląda smutny Strażnik Ochrony Kolei i smutnym głosem prosi o dokumenty w celu wypisania mandatu. Jesteśmy w domu!

– END –

Pireneje

Pasmo: Pireneje

Państwa: Hiszpania, Andora, Francja

Najwyższy szczyt: Pico de Aneto

Wysokość: 3404 m. n.p.m.

Miejscowość: Benasque

Szacowany czas: 1 – 2 dni

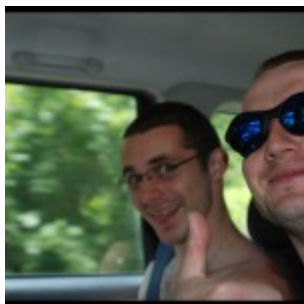


Pico de Aneto znajduje się w masywie Maladeta. Dojazd do Pllan de Senarta za miejscowością Benasque. Jest tam parking i pole namiotowe. Droga na szczyt prowadzi stamtąd koło kamiennego schronu Cabana del Quillon oraz większego – wyposażonego w kominek i piętrowe łóżka, ale również bezobsługowego – Refugio de Corones. Do tego miejsca prowadzi szutrowa droga i można tu dojechać autobusem! Od Corones leśną drogą w górę. Powyżej linii lasu, nad jednym z kilku jezior, kolejny kamienny schron, niezaznaczony na mapie. Jest to kolejne schronienie, ale nie ma tam podłogi i łóżek więc planując nocleg konieczne karimaty i śpiwory. Na szlaku sporo kamiennych kopczyków ułatwiających orientację. Po przejściu osuwających się piargów czeka nas stroma ale krótka i nietrudna wspinaczka na grzbiet. Tu stajemy na najprawdziwszym

łodowcu. Można nim wejść jak najwyżej (szczelin brak, ale konieczne raki bo ślisko) by potem skałami dostać się na szczyt. A jeśli ktoś nie ma raków to można ominąć jego stromy odcinek wchodząc od razu na skalną grań. Na grani również są kopczyki. Tuż przed szczytem jest teoretycznie najbardziej niebezpieczny – wyeksponowany fragment grani zwany Paso de Mahoma. Byłem świadkiem jak to miejsce żując gumę przebiegła mała dziewczynka. Za nią to samo zrobił jej młodszy braciszek.

Galeria





Relacja

Cel – Pico De Aneto (3404 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – wrzesień 2009

Kto – Dziku & Laura & Aneta

FALSTART

Na naszej drodze na najwyższy szczyt Pirenejów od początku napotykałyśmy przeszkody. A dokładniej to sami sobie je fundowaliśmy. Przede wszystkim wybraliśmy się tam nieodpowiednio wyposażeni, a w przewodniku było wyraźnie napisane: „wyposażenie: lina, czekan, raki” (a ja, po tym jak kamień o centymetry minął moją głowę, to bym jeszcze do tego kask dorzucił). Nie mam w zwyczaju bagatelizować żadnej góry ale chyba nie wierzyłem, że faktycznie znajdziemy się w tamtym rejonie i zdecydujemy się próbować. Morale obniżał mi również fakt, że pojechałem tam ze świeżo złamanym nosem. Złamanym nie

po raz pierwszy ale tym razem na tyle poważnie, że dostałem miażdżący zakaz: 3 tygodnie bez gór, słońca, i alkoholu. Nic tylko pojechać do Hiszpanii...

Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że dziewczynom bardzo zależy by zmierzyć się z najwyższym szczytem Pirenejów. Po zrealizowaniu więc kilku niegórskich punktów programu (w tym wniesienie szprota w sosie pomidorowym na mecz FC Barcelony na Nou Camp po wcześniejszym zdeponowaniu za murkiem pod stadionem słoika dżemu) dojechaliśmy do Benasque, by 6 km za miastem, już późnym popołudniem, w Pllan de Senarta (1375) zaparkować auto, spakować się i być gotowym do wymarszu. 3 minuty później siedzieliśmy już we troje z powrotem w aucie przywaleni plecakami. Jedziemy z powrotem 2 miasteczka przed Banasque – bo tam w ogródku restauracji, przy samej drodze, zostawiliśmy nasz jedyny aparat fotograficzny, ze wszystkimi zdjęciami z dotychczas odwiedzonych miejsc. Nawet niespecjalnie panikowaliśmy, w końcu to nie Polska, i nie zdziwiliśmy się jak na nasz widok barman z uśmiechem od razu pomachał naszym aparatem.

START

Jeszcze raz to samo – parking nad rzeczką – aparat do plecaka – plecaki na plecy – i idziemy do schronu Coronas (1970). Po drodze spotykamy miłą Czeszkę, która próbuje wybić nam z głów Pico De Aneto. Mówi, że bez odpowiedniego sprzętu jest to po prostu niemożliwe żeby tam wejść. Mówi też że przed zmrokiem nie dojdziemy dzisiaj do schronu bo jej zejście stamtąd szybkim tempem zabrało 2 godziny. Pomyliła się w obydwu sprawach – przy odpowiednich warunkach lodowiec można obejść skałami (którędy dokładnie to niestety dowiedzieliśmy się trochę za późno), a po drugie po dojściu do schronu mogliśmy jeszcze długo nacieszyć się słońcem. Może zapomniała, że wschód i zachód opóźniony jest tam o prawie 2h w stosunku do naszego czasu.

W schronie jest już kilka osób. Poznajemy tam przemiłego

Hiszpana, który wędrował cały dzień bez jedzenia. Kieszeń wypchaną miał orzechami laskowymi, które zbierał 3 godziny, jak sam powiedział po to, by wymieniać je z turystami na inne niezbędne rzeczy. Od nas – za dwie garści orzeszków – dostał herbatę. Niesamowicie pozytywnie nakręcony człowiek, rozmawialiśmy i śmialiśmy się do nocy.

ANETO, ANETA I MOST MAHOMETA

O ósmej startujemy na górę. Trasa bardzo ładna. Kamienne kopczyki prowadzą nas najpierw przez las, a potem kamiennymi zboczami. Mijamy kolejno jeziora – jest ich po drodze cztery. Za ostatnim zaczynają się piargi. Czasem w tym stosie kamieni trudno wypatrzyć mały kopczyk oznaczający szlak więc poruszamy się trochę na czuja. Niestety poruszanie się po obsypujących się kamieniach doprowadza Anetę do małego kryzysu. To jej pierwszy kontakt z tego typu górą. Właściwie przez następne kilka godzin musi przesuwac swoje granice. Mimo to radzi sobie ze wspinaczką na grań, z przejściem pierwszego lodowca, a nawet z próbą ominięcia skałami drugiego lodowca. Próba dosyć karkołomna, bo jak wspomniałem wcześniej nie wiedzieliśmy, że lepiej było pisać się granią a nie męczyć się skrajem lodowca. Dochodzimy do Mostu Mahometa – wąskiego skalnego przejścia za którym w odległości 30 kroków widać krzyż – najwyższy punkt Pirenejów. Tutaj Aneta postanawia na nas poczekać. Jest na wysokości ok. 3400 m n.p.m. – zaledwie parędziesiąt kroków od szczytu, ale dojście tu kosztowało ją zbyt wiele sił psychicznych. Po kilku fotkach na szczycie schodzimy.

TRUDNY WYBÓR

Ja i Aneta zsuwamy się ostrożnie lodowcem – na litym, stromym lodzie podziubanym zębami raków utworzyła się cieniutka warstwa brei. Nasze buty jakoś się tego trzymają i bardzo ostrożnie dochodzimy do skał poniżej lodowca. Laura pnie się po skałach na grani, znajduje tam kopczyki i okazuje się, że to chyba była najlepsza droga dla tych, którzy nie zabrali raków. Do wieczora ciągle schodzimy. O 19-tej jesteśmy przy

schronie Coronas i robimy naradę. Jest kilka opcji:

1. Ja mówię: Możemy znów przenocować w schronie i rano schodzić.
2. Aneta mówi: W schronie chrapia więc możemy powoli schodzić aż do nocy do auta i przenocować na dole.
3. Laura mówi: Możemy wysłać Dziką biegiem na dół żeby spróbował zdążyć do miasta przed zamknięciem sklepu i kupić wino.

Zwycięża opcja trzecia. Podczas gdy dziewczyny powolutku schodzą ja pokonuję 9km w 1 godzinę i 10 minut, dobiegam do auta i jadę do Benasque. W sklepie jestem na 10 minut przed zamknięciem. Kupuję 2 wina i na wszelki wypadek jeszcze sześciopak piwa. Do tego jogurty i owoce – tak tylko żeby sumienie uspokoić.

W całkowitych ciemnościach wracam na Pllan De Senarta i ruszam z powrotem na górę dziewczynom na przeciw. Spotykam je po ponad połowie godziny marszu. Są mocno zmęczone, Laura dodatkowo ma problemy ze stopami. Dla usprawiedliwienia liczymy godziny i wychodzi nam, że każdy ma prawo paść na pysk po 14-tu godzinach walki w tych pięknych, ale wcale przecież niełatwych górach.

Pico De Aneto, choć dał sporo satysfakcji nie jest jednak najwyższym szczytem Hiszpanii. Jest nim Mulhacen w pasmie Sierra Nevada na południu Hiszpanii. Tam podczas tej wycieczki nie dotrzemy ale stosunkowo niedaleko znajduje się przecież Andora. Motywacja ogromna bo Andora stanie się moim 23-cim europejskim państwem, z którego najwyższym szczytem przyjdzie mi się zmierzyć.

– END –

Himalaiści

Zostałem himalaistą. Na kredyt. Nie pozostaje mi teraz nic innego jak złożyć jakiś 8-tysięcznik. Tylko który?



Korona Gór Europy

Po zdobyciu w lipcu 2010 roku najwyższego szczytu Szwajcarii wystarczyło spojrzeć na mapę, by przekonać się, że projekt Korony Europy powoli zmierza do końca. Ostatnie niezdobyte szczyty odsunęły się ku obrzeżom mapy pozostawiając w środku jedynie twardo stawiający opór najwyższy szczyt Słowacji – Gerlach. Coraz częściej zaczęły mi przychodzić do głowy kolejne pomysły. Któregoś dnia, przeglądając mapy, zwróciłem uwagę jak wiele jest masywów górskich, o których dotychczas nie miałem pojęcia. Skupiony dotychczas na konkretnych szczytach nie zwracałem na nic więcej uwagi. A teraz przyszedł czas, kiedy zainteresowały mnie te wszystkie pasma górskie Europy. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że ich najwyższe szczyty rzadko kiedy pokrywały się z najwyższymi szczytami państw. W pewnym sensie to zupełne oderwanie się od sztucznych, stworzonych przez człowieka granic jest w tym projekcie czymś, co mnie zaczęło tym bardziej pociągać.



Liskamm Wschodni

Czas: VIII 2011

Skład ekipy: Dziku, Paweł, Aga

Miejsce: Liskamm Wschodni (4527 m. n.p.m.)



Liskamm Wschodni, czyli 8-my szczyt Alp i przebiegająca przez niego 5-cio kilometrowa grań. Ostra i pełna nawisów. Napatrzyłem się na nią w zeszłym roku podczas zdobywania Dufourspitze i już wtedy miałem nadzieję, że będę miał możliwość się nią przejść. Okazja nadarzyła się, kiedy Aga wymyśliła eksplorację masywu Monte Rosa. Kusiło nas to skupisko 4-tysięczników. Prawie wszystkie w zasięgu kilkunastu minut od namiotu. Pod warunkiem, że się ten namiot tam zatarga. A łatwe to nie było. Przynajmniej dla mnie – sponiewieranego przez chorobę wysokościową. Na szczęście byli ze mną jeszcze Paweł i Aga. Znacznie lepiej znosząc wpływ wysokości zaciągnęli mnie przez długi lodowiec do wysokości ok. 4200 n.p.m. i tu założyli obóz. Przez następne dwa dni będę dochodził do siebie. Nie przeszkodzi mi to w tym czasie

przespacerować się solowo na 7 okolicznych 4-tysięczników. Ale te nunataki sterczące wokół namiotu nie dawały wystarczającej satysfakcji. Naprzeciwko namiotu wciąż widziałem grań Liskamma i czekałem tylko na moment kiedy się pewniej poczuję.



Po dwóch dniach bólu głowy, krwi z nosa i... leczących mnie z wszelkich dolegliwości spacerów powyżej poziomu 4400 metrów poczułem się znów jak zdrowy dzik. Wieczorem zabrałem się napalony za topienie śniegu do termosów na nocną akcję. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że te przygotowania zajmą mi więcej czasu niż sama akcja.

O 2:30 wybiła „godzina zero”. Aga stwierdza, że nie idzie z nami. Nie namawiamy jej. Ostatnie dni wykorzystała tak jak się tylko dało. Weszła m.in. na drugi i trzeci szczyt Alp. Ma za sobą sporo wysiłku i osiągnięć. Ma pełne prawo odpuścić sobie Lyskamm i porządnie się wyspać. Zatem gotujemy z Pawłem wodę na śniadanie i ruszamy w kierunku przełęczy. Księżyc świeci bardzo jasno. Szybko docieramy pod grań Liskamma. Jak się potem okaże od namiotu na szczyt dostaniemy się w niecałe 2 godziny. Być może to z powodu nocy. Nie ma widoków, nie ma przystanków na podziwianie i robienie zdjęć. Poza tym – zimno. Kiedy dochodzimy do krzyżyka i nawisu na szczycie jest jeszcze kompletnie ciemno. Próbuje zrobić jakieś zdjęcie. Pytam: „Paweł mógłbyś przesunąć się trochę w lewo?”. Słyszę w odpowiedzi: „Chcesz mnie zabić?”. Chce mi się śmiać chociaż zdaję sobie sprawę, że przez cały czas jesteśmy związani. Pytanie... po co? Obydwoje dojdziemy potem do wniosku, że następnym razem bez liny.



Powoli wyłaniają się kształty, widoki. Dalsza część grani. Jakoś nie mamy parcia by wejść na wierzchołek zachodni, zresztą niższy od wschodniego. Chociaż mamy taką parę, że pewnie błyskawicznie byśmy do niego dotarli. Ale po co robić coś, na co nie mamy 100% chęci. Wschodzące słońce wypełnia niebo takimi barwami, że czujemy się jak w bajce. Jak w grafice komputerowej. Ale my to widzimy na żywo. Te wszystkie okoliczne szczyty oświetlone na czerwono – Dufourspitze, Zumsteinspitze, Signalkuppe, Parrotspitze, Ludwigshöhe, Corno Nero, Balmenhorn, Piramida Vincenta. Dopiero co po nich spacerowaliśmy o wschodzie i zachodzie słońca. Ale z tej perspektywy i o tej porze wyglądają najładniej. Wyciągam aparat i postanawiam nauczyć się trybu „manual”. Powinno się udać, bo zauważyłem na ostatnich wypadach, że najszybciej się uczę pod wpływem presji. A najlepiej jeszcze, żeby życie moje było zagrożone. Nie bacząc na to gdzie się znajduję, zaczynam kucać, kłaść się, klęczeć i biegać po grani w jedną i drugą stronę. Wszystko po to by odpowiednio uchwycić to, co się wokół nas wyłania.



Po zejściu z powrotem na początek grani ściskamy sobie z Pawłem dłonie i idziemy szybkim krokiem do namiotu. W plecaku pełne termosy. Wypiliśmy jedynie po kubku i zupełnie nic nie jedliśmy. Dookoła widzimy pięknie uformowane chmury. Znowu zaczyna się tłok na szlaku. To jest pora kiedy wylegają z okolicznych schronisk „tramwaje”, czyli grupy z przewodnikami. Oni zaczynają swoje przygody, a my... wcale nie mamy zamiaru kończyć. Idziemy obudzić Agę, która jeszcze sobie smacznie

śpi. Nie spodziewała się nas tak szybko. Po śniadaniu (drugim) wyruszymy wspólnie na kilka łatwych wierzchołków. Aga tego poranka dorzuci do swojego, już przecież znacznego dorobku jeszcze 4 „szczyty” czterotysięczne. Mi dziś wystarczy ten jeden Liskamm. Czuję się spełniony. Paweł i Aga również. Możemy powoli wracać.

Jaskinie

Zapraszam do nowego [działu](#) i nowej kategorii – Jaskinie.

Niedługo pojawi się więcej wpisów w tej tematyce. Zaznaczam, że nie istnieje żadna zależność pomiędzy liczbą wpisów o górach a liczbą wpisów o dziurach. Tych i tych powinno być sporo. Przynajmniej będę się o to starał.



One Way Ticket

Czas: 28 V 11 – 04 VI 11

Skład ekipy: Marcin, Dzik, Tomek, Aga, Aneta.

Miejsce: Masyw Mont Blanc

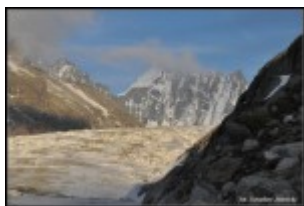
W artykule schemat trasy oraz relacja z krótkiego, ale pełnego emocji wypadu w Alpy.

Na tym wyjeździe były dwa główne cele. Jeden to wejście kulwarem Y na szczyt Aig. d'Argentiere (3902 m. n.p.m.) a drugi to zdobycie Mont Blanc drogą od Aig. Du Midi. Ponieważ z powodu złych warunków atmosferycznych nie udało nam się zbytnio powalczyć o czterotysięcznik skupię się głównie na relacji z wyjścia aklimatyzacyjnego. Zresztą dla nas wyjście to kandyduje na przeżycie roku.

Po dojechaniu do miejscowości Argentiere ruszyliśmy w górę w kierunku schroniska d'Argentiere z zamiarem wejścia na szczyt d'Argentiere. Droga do schroniska wiedzie przez lodowiec o nazwie... tak, zgadza się – Glacir d'Argentiere.

Niestety tego dnia nie udaje nam się dojść do celu. Ciemna noc zastaje nas na środku lodowca. Tym samym Aneta, dla której jest to pierwsza tego typu wycieczka, ma dziś okazję nie tylko po raz pierwszy założyć raki i kluczyć między szczelinami, ale jakby na początek było jej mało atrakcji to ma jeszcze przyjemność spać na lodowcu.

Rano na spokojnie dochodzimy do schroniska. Wprawdzie w tym okresie jest ono nieczynne, ale część sypialna oraz jadalnia są udostępnione do użytku. Jesteśmy jedyną ekipą w tej części gór, więc przejmujemy budynek we władanie. Przez resztę dnia lenimy się i wygrzewamy na słońcu wśród motylków i spasionych świstaków.



W nocy wstajemy i o 2:45 szybkim tempem wyruszamy pod górę.

Wcześniej jednak instruujemy Anetę, która nie była przygotowana na tego typu akcję i postanowiła zostać w schronie, jaki jest plan. Powiedzieliśmy, że wrócimy najpóźniej o 13-tej, ale powinniśmy trochę wcześniej. Najbardziej optymistyczne scenariusze wspominały nawet o 10-tej. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że uda nam się wrócić nawet niecałe 3 godziny przed godziną 10-tą. Tylko, że wieczorem...

Zatem dlaczego droga, która wprawnemu zespołowi mogłaby zająć 8 godzin nam zajęła ponad 16? Brak doświadczenia, brak sprzętu, brak rozeznania w terenie. My wszystkie te braki nadrobiliśmy pozytywnym nastawieniem i dobrym humorem.

Ale po kolei: za schroniskiem wchodzimy na skały i w świetle czołówek skaczemy po kamieniach szybko zdobywając wysokość. Po krótkim czasie wchodzimy na lodowiec Glacier des Amethystes. Wiążemy się w dwa zespoły i ostrym tempem posuwamy się w górę. Z ciemności dochodzi jeszcze do mnie mruknięcie dyszącej Agi: „no to wybrała się mała Agusia z trzema byczkami, no to ma...”. Faktycznie goniąc prowadzącego Marcina, wielokrotnego maratończyka, robi się z tego zabójczy rajd.

U podnóża kuluaru każdy łapie po dwa czekany w ręce i ruszamy. Wychodzi słońce i szybko się przejaśnia. Im więcej ukazuje nam światło dnia tym bardziej dociera do nas, że porwaliśmy się niczym z motyką na słońce. Poza Marcinem, który uzbrojony był w dziaby i obwieszony szpejem jak choinka, pozostała trójka miała sprzęt przydatny do zdobywania co najwyżej rysy na Rysach. A przed nami setki metrów o nachyleniu najmniej 50°.



Za prowadzenie od początku do końca zabrał się Marcin. Jako jedyny doświadczony w tego typu drogach sprawnie zakładał

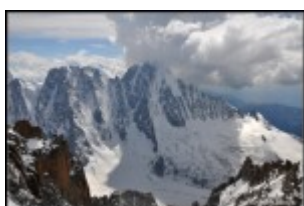
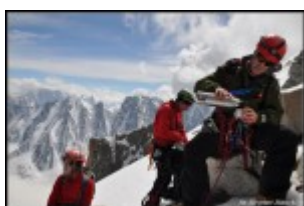
punkty asekuracyjne i pruć do góry. Jednak nie chcąc zostawiać drugiego zespołu, tzn. Agi i Tomka, postanowiliśmy, że punkty będą zbierać oni. Ze względu na to, że mieli oni jedynie 20 metrową linę i każdemu z nas brakowało wprawy i szybkości, wszystko zaczęło się niemiłosiernie wydłużać. Po kilkunastu wyciągach nie wyglądało, żebyśmy byli nawet w połowie drogi. Powoli do kuluaru zaczęło zaglądać słońce. Lód zaczął się topić a z okolicznych ścian zaczęły spadać kamienie.

Jakby tego było mało, w tym pośpiechu wybraliśmy złą drogę i wpakowaliśmy się w ślepy zaułek zakończony kilkumetrową, pionową ścianą lodu. Tam podjęliśmy jedyną możliwą decyzję – o zjeździe do miejsca, w którym zboczyliśmy z właściwego toru kuluaru. Ta pomyłka, czyli wejście w ślepą uliczkę i zjazd kilka wyciągów na tym szczątkowym sprzęcie, który mieliśmy, kosztował nas kolejne 3 godziny! Oprócz straty czasu uświadomiło nam to też kilka faktów. Mianowicie nie było mowy o wycofaniu czyli zjeździe do podnóża kuluaru. Szpej, jaki nam pozostał pozwalał na zakładanie stanowisk i ich zbieranie podczas wspinaczki, ale nie było mowy o zostawianiu taśm czy karabinków podczas zjazdu. Zresztą wiedzieliśmy, że w wielu miejscach nie będzie możliwości założenia nawet jakiegokolwiek stanowiska.

Gdy dotarliśmy do właściwej drogi usłyszałem, jak Marcin nazywa sprawę po imieniu – „To już nie jest walka z czasem, teraz to walka o życie”. Ale my już zdawaliśmy sobie z tego sprawę wcześniej. Chociażby wtedy, kiedy przy jednym ze zjazdów cienki repsznur, do którego zaczepiona była lina zaczął się przecierać na ostrej krawędzi kamienia. Widząc to Tomek odciął pasek od plecaka Agi i podłożył w najbardziej niepewne miejsce. Potem oboje musieli zaufać tej prowizorce i zjechać do mnie i Marcina.

Popatrzyliśmy na drogę w dół i – wbrew naturalnemu instynktowi – jednogłośnie stwierdziliśmy, że nasza jedyna droga powrotna wiedzie przez szczyt. Od tego momentu granica dzieląca nas od słońca przybliżała się do nas w tempie ekspresowym. Coraz

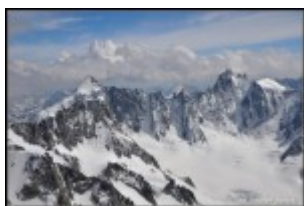
bardziej przytuleni do skał w prawej części kuluaru brnęliśmy w coraz większej śnieżnej brei do góry. Początkowo lekko muskając jasne słoneczne światło, potem z jednym ramieniem oświetlonym, a następnie w pełnym słońcu człapaliśmy krok po kroczku i próbowaliśmy liczyć, ile to mogło jeszcze pozostać wyciągów. Od 10 godzin nie odpoczywaliśmy. Nie było nawet jak stanąć ani usiąść chociażby na chwilę. Aga, która szła jako ostatnia przed oczami miała ciągle nasze drgające ze zmęczenia łydki. Od momentu dotarcia do nas słońca każdemu krokowi towarzyszyło lekkie obsunięcie się z mokrym śniegiem w dół. Jednak posuwanie się z uporem centymetr po centymetrze musiało dać efekty. O godzinie 15-tej widzimy, że Marcin dochodzi do grani. W tym momencie słyszymy też warkot helikoptera. Widzimy jak leci do podnóża kuluaru i następnie wzdłuż niego pruje do góry – prosto do nas. Nie mamy wątpliwości, że śmigłowiec – zresztą zgodnie z tym, jak się umawialiśmy – wezwała Aneta. Nie mając od nas żadnej informacji o umówionej porze powiadomiła przez radio ratowników. Od powiadomienia w ciągu zaledwie parunastu minut helikopter wisiał już nad naszymi głowami. Od tego momentu napięcie mnie opuściło. Moją największą troską od dłuższego czasu było to, żeby w jakiś sposób powiadomić Anetę, że żyjemy. Teraz ratownicy wiedzą gdzie jesteśmy, za chwilę wylądują na dachu schroniska i powiedzą o tym Anecie. Pokazujemy, że u nas wszystko w porządku i ze zdwojoną siłą zabieramy się do pokonania ostatniego odcinka. Wkrótce wszyscy siadamy na kamieniach na grani. Wreszcie na kawałeczku płaskiego terenu! Po paru minutach ruszamy po nawisach na szczyt. Stajemy na nim o 16-tej. Po 13-tu godzinach walki. Widoki przepiękne. Przed nami same 3 i 4-tysięczniki. Zza grani Aig. Verte i Les Droites wystaje biała kopuła Mont Blanc.



Wreszcie zasłużony odpoczynek, kostka czekolady i łyk herbaty. A potem zejście z grani na lodowiec Milieu... po 45 stopniowym nachyleniu! Ale byle jak najszybciej na dół. Uważając, żeby nie polecieć z lawiną schodzimy najszybciej jak możemy. W pewnym momencie Aga traci równowagę i stacza się na dół. Wpada na Tomka i lecą oboje. Wszyscy rzucamy się na czekany. Wyhamowaliśmy i teraz rozciągamy się w poprzek stoku. Nie chcemy, by przy ponownym upadku osoba z tyłu miała możliwość wpadnięcia na osobę przed nią. Im niżej tym więcej szczelin. Przeskakujemy największą widoczną a potem prujemy po zagłębieniach w powierzchni lodowca. Momentami stoję na mokrym, ciężkim śniegu i słyszę, jak pode mną płynie strumień. Myślę tylko o tym, żeby być już na piargach, na dole. Przy zejściu z lodowca jednak mamy jeszcze trochę kłopotów z odnalezieniem drogi. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Ale są pierwsze skały. Siadamy na chwilę. Rozplątujemy się z lin i sprzętu. Każdy zagarnia, co ma pod ręką i idzie w kierunku schronu. Ktoś zostawia czekan, ktoś inny go zabiera. Wszystko nieważne, byleby ściągnąć buty i pójść spać.

O godzinie 19-tej Aneta ze łzami w oczach wita pierwszych powracających. A ja chyba nigdy wcześniej nie nauczyłem się tyle jednego dnia, co tam w tym kuluarze „Y”.

– END –



Min / max altitude: 2770m / 3901m

Elevation gain / loss: +1130m

Difficulties lenght: 450m

Configuration: couloir

Main facing: SE

Route type: return trip / abseil down

Duration: 1 day

Slope: 50°

Global rating: AD

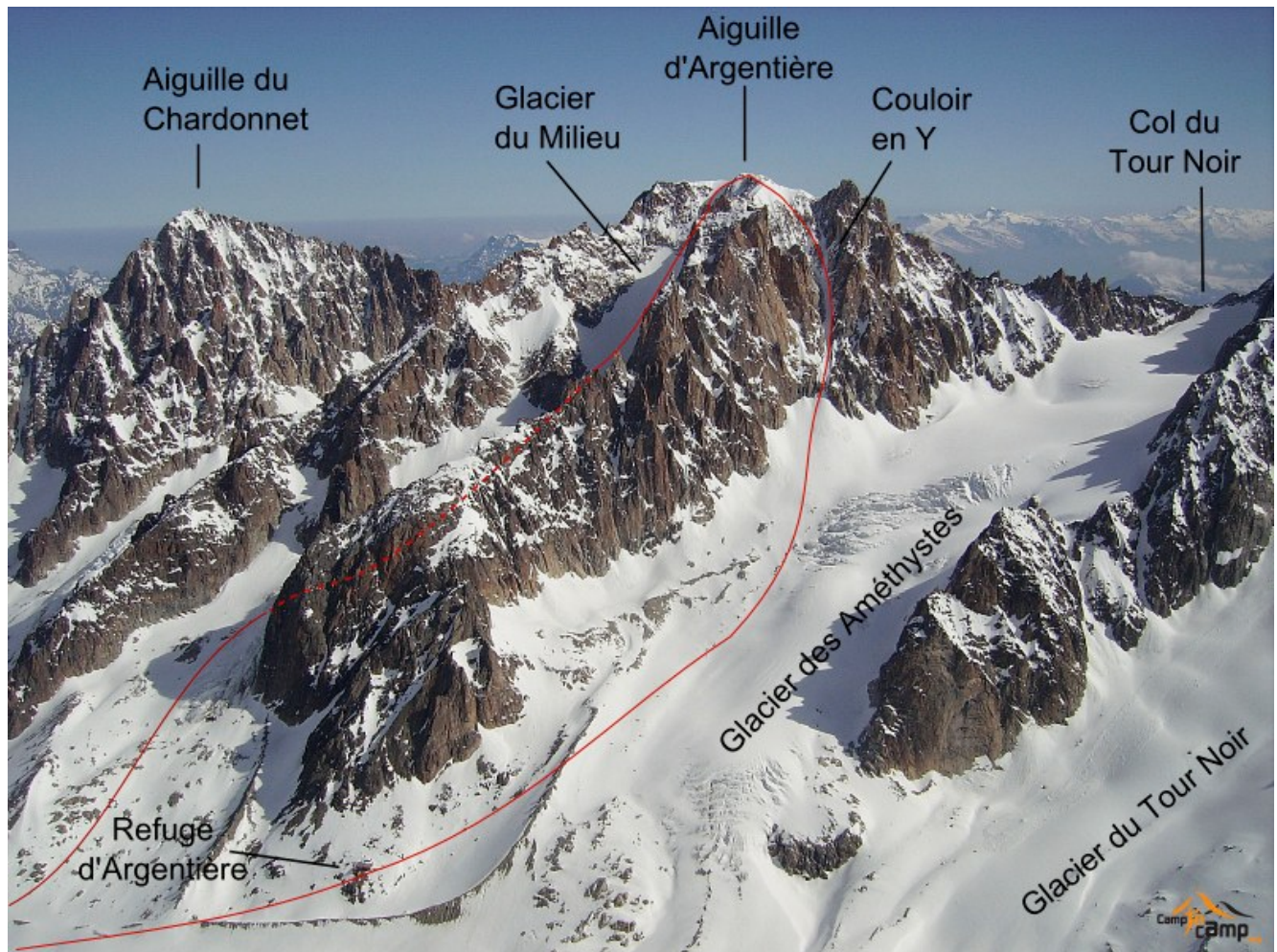
Commitment grade: III

Toponeige technical grade: 5.2

Toponeige exposure grade: E3

Labande descent grade: S5

Labande global grade: TD



to zdjęcie zapożyczyłem ze strony <http://www.camptocamp.org/>